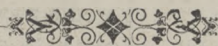


WIECZORY RODZINNE,

CHASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

[13]

DLA DZIECI.



DZIECI PERSKIE W INDYACH.

DZIECI PERSKIE W INDYACH.

U dawniejszych Persów, jak to wicie zapewne z historyi starożytnej, panującą była religia Zoroastra. Później, gdy mahometanie kraj ten zagarnęli, zaczęli wyznawców téj wiary prześladować, a wielu z nich, nie chcąc przejść na mahometanizm, schroniło się do Indyj, i dotąd ta garstka

Persów zachowuje przepisy swojej religii, która głównie polega na czci ognia.

Rycina nasza przedstawia dzieci perskie w Indjach zamieszkałe. Strój ich, z jaskrawych jedwabnych tkanin złożony, jest bardzo ozdobny, twarzyczki blade, śniade, o błyszczących wielkich oczach, wcale nie są podobne do europejskich dzieci.

PRACA.

przez Kazimierza Brodzińskiego.

Dwie posłanki z dworu Pana
Idą ku nam zawsze z rana,
Siostrami wzajem się głoszą,
Na wagach dary roznoszą.
Ta do trwogi lub tęsknoty
Miesza chwałę, kruszec złoty;
Z płocności albo obłudy,
Fortuną zowią ją ludy.

* * *

Druga skromnie, między gaje,
Między pola się udaje,
W kłosistym wieńcu na czole,
W ochoczem stawia się kole;
Zdrowiem, szczęściem darząc życie,
Lubi trudy i ukrycie,
A pracy bóstwem się mieni,
Jój siostra małą jo ceni.

* * *

Do niej śpieszcie, ziemi dzieci,
Którym świetny los nie świeci,
Bo ona o was troskliwa,
Fortunie klucze porywa,
Napój mieni w nektar boski,
Radość budzi, tuli troski,
Kwitnące wije wam zdrowie,
I z maku ściele wezgłowie.

.

Kto ku pracy ręce skłoni,
Nie uniży w dworach skroni,
Wolności bóstwo mu wszędzie
Dni złotych pasmo uprzedzie;
Dla poddańców uprzedzenia,
W niewolnika się nie zmienia,
Psuć myślom skrzydeł nie daje,
Bezkarnie z prawdą przestaje.

* * *

Przeto komu kwitnie zdrowie,
Niechaj możliwym hołd wypowie,
Śpiewając pieśni swobody,
Niech mija zamki i grody;
A gdziekolwiek z losem zajdzie,
W całej ziemi matkę znajdzie:
Bo praca skarbiec dziedziczy,
Którego nigdy nie zliczy.

TAJEMNICA RODU.

OPOWIADANIE Z DAWNYCH CZASÓW,

przez M.a.

(Dalszy ciąg).

Natychmiast po zainstalowaniu w akademii i po ugoszczeniu profesorów, odwiedzili wojewodzców wedle zwyczaju bawiący w Krakowie młodzieńcy, synowie panów możniejszych, a mianowicie przyjaciół lub krewnych rodzicielskich. Krewnych zaś bywało wówczas między szlachtą możniejszą bardzo wielu, a nawet kto wie, czy przy dobrej woli nie możnaby dowieść, że wszyscy byli sobie krewnymi, a to najwięcej przez kilka rodów, szczególnie pobłogosławionych zacnemi a pięknemi córami, które zbliżyły ręką swą mnóstwo domów między sobą. Jednym z takich był naprzykład ród Herburtów, sławny między innemi swemi cnotami i zaletami, z niezmiernie licznych i poszukiwanych w małżeństwo dziewic. Mnóstwo tedy młodych chłopaczków, po większej części akademików także, odwiedziło wojewodzców, i zaraz zawiązały się stosunki towarzyskie ciągle z wzajemnie sobie ofiarowanemi i przyjmowanemi *bankietami*, to jest sutem i uroczystem ugoszczeniem. Na każde takie odwiedzin towarzyszył wojewodzicom przez ulicę cały ich dwór, i tak samo ceremonialnie odprowadzał ich po odwiedzinach do domu.

Był też w instrukcyi osobny rozdział, traktujący o respektowaniu starszych, skutkiem którego, wojewodzice z wielką paradą i z całą swą asystencją chodzili z submisją swą, to jest po dzisiejszemu: złożyć swe uszanowanie wielkim i szanownym panom, przyjaciółom ojcowskim, gdy który z nich do Krakowa zawitał. Tak odwiedzali uroczystie biskupa krakowskiego, wojewodę krakowskiego, wojewodę sieradzkiego, i innych. Przyjmowano też zaproszenia na uroczystości różne domowe, wesela itp. a wtedy młodzi panicze paradnie i bogato przystrojeni, w białych atlasowych złotem przerabianych, krótko i zgrabnie wedle mody dla młodych skrajanych żupanikach, w błękitnych lub pasowych aksamitnych ze srebrem kontuszach i pasowych lub żółtych ze srebrem lub złotem bucikach, tańcowali sobie zdrowi, i zawsze wedle słów instrukcyi starali się względem białych głów okazać „nie tylko po łacinie uczonymi, ale i po polsku prawdziwie grzecznymi!”

Ale nawet kiedy najmłodsze ze szlacheckich pacholąt odwiedzały się wzajem, zawsze wszystkie ceremonie i cała właściwa ścisła etykieta i solenna

powaga zachowywały się między temi dziećmi jak najskrupulatniej, pod bacznym dozorem nauczycieli. Mieli też wojewodzice i przechadzki różne powyznaczane instrukcją, najczęściej z jakim pobożnym połączone celem. Tak np. obowiązani byli w dni pewne, świąteczne zwłaszcza, podążać do kościoła Dominikanów, aby tam w kaplicy książąt Zbaraskich „srogich“ niegdyś, to jest serdecznych przyjaciół ojca, za duszę ich odmówić za każdy raz psalm *de profundis* i *requiem*, a to pod wielką odpowiedzialnością. Przy tém wszystkiém zaś wielka szafa, pełna ksiąg historycznych, filozoficznych i matematycznych, nie próżno stała w dużej izbie panić, ozdobiona na pierwszém miejscu owym drogocennym pisarskim sprzętem, wyrobionym rękoma ojca Skargi.

Z tak statecznego prowadzenia wojewodzców najpożądańsze wynikły też skutki; po kilku latach akademickiej pracy zdobyli oni sobie, mimo młodości, nie tylko spory wistocie zapas gruntownej nauki, ale jeszcze przytém prawdziwą przychylność i poważanie ludzkie. To też w roku 1642 odbyła się znów w gospodzie wojewodzców wielka przyjacielska uczta, ku tém uroczystszeniu obchodzeniu dość rzadko się przytrafiającej łaski królewskiej, do której zjednania, oprócz zasług wojewody, przyczężyło się niewątpliwie i osobiste a ogólne poważanie, jakie zdobyli sobie młodzi panice: łaską tą było mianowanie młodego Marka starostą krasnostawskim. Nie później jak w dwa lata potem i Jan Sobieski został starostą jaworowskim. Marek miał wówczas lat piętnaście. W lat dwa później jeszcze, w siedemnastym roku życia, starosta krasnostawski, Marek Sobieski, zdobywszy wszystkie pochwały i laury, jakie w akademii były dla najpilniejszych uczniów do zdobycia, a co ważniejsza posiadłszy rzeczywiście nauki, jakie w niej wykładano, solennie i serdecznie żegnany i żegnający się z profesorami i kondyscypułami, został wraz ze starostą jaworowskim wysłany przez ojca dla dalszego kształcenia się za granicę, a mianowicie do Francji.

III.

W zimie roku 1645, duży i ciężki, bo pakowny powóz na saniach, niezgrabny, jak i najkosztowniejsze owoczesne bywały, toczył się zwolna sześciu silnemi końmi ciągniony po grubo śniegiem zasłanym gościńcu. Mróz był niewielki, dzień jasny i piękny, konie parskwały, słońce świeciło wesoło. Tłómoki i pakunki różnych kształtów, skórą po wierzchu opatrzone na daleką podróż, poprzytracane były ze wszystkich stron powozu, ale grube osłony skórzane i futrzane, ochraniające sam po-

wóz z boków, odsunięto, używając dnia ładnego. W powozie siedzieli dwaj wojewodzice ruscy Sobiescy, a przed nimi ów niegdyś mały, a i dziś nie wiele co większy, choć starszy, Francuzik, zdany przed laty na ręce pana wojewody, to jest na jego opiekę, i z tego powodu polecony panu Orchowskiemu do surowego pilnowania. Oprócz Łukasza, o sumiastych a siwych już wąsach, pełniącego na ten raz obowiązki woźnicy, i krzepkiego forysia, nie było teraz więcej dworu, ani żadnej ostentacyi przy wojewodzicach. Ciepło odziani w piękne futra, pętlcami na piersiach zamknięte, w dużych czapach futrzanych, pozrzucawszy tylko futrzane niezgrabne, bez oddzielnych palcy rękawice, leżące teraz na futerku Francuza, młodzi panowie rozmawiali żywo i wesoło. Marek, starosta krasnostawski, trzymał w rękach roztwarty dość gruby zeszyt w skórę oprawny, niezbyt wykwintnie, a raczej po domowemu, na którego pierwszój widocznej teraz stronicy wypisany był ozdobnie tytuł następujący: „Instrukcja synów moich, w podróż zagraniczną jadących, od ojca ich, wojewody ruskiego, Jakóba Sobieskiego, ku pożytkowi tychże synów moich wystosowana”. Starosta jaworowski Jan trzymał w ręce drugą podobną, daleko grubszą i większą książkę, roztwartą także, ale czystymi kartami zapełnioną, i przerzucając te karty swawolnie, a wielce miłośniwie poglądając z ukosa ku starszemu bratu, mówił prosząco:

— Już we wszystkiém niech będzie jako chcecie, jeno, miły panie bracie, róbcie wy sami wszystkie one notaty w tej książce od pana ojca nakazane...

Ale starosta krasnostawski odpowiedział na to z tak wielką powagą, że aż się Francuz dyskretnie uśmiechnął, miarkując, że udaną była.

— Nie, mości starosto; chociaż pan wojewoda nie wyluszczył tej okoliczności w Instrukcyi, przecież słyszeliście jako życzył, aby raz jeden z nas, a drugi raz drugi wpisywał notaty podróżne w tę księgę; a więc pozostaje nam jeno milczeć a pisać; o porządek kolei mniejsza rzecz, ja zaraz w pierwszym mieście rozpocznę.

Na te stateczne słowa Marka, Jan odpowiedział z desperacją i przeciągłym płacziwem jęknięciem, co twarz jego zawsze pucłowatą, ale już przecież młodzieńczą, nastroiło do dziwnie komicznego wyrazu:

— A!... jużbym też wolał trzy dni i trzy nocy *requiem* i *de profundis* za panów Zbaraskich odmawiać, i drugie trzy dni i trzy nocy szabłą machać, niż ono tém piórém tam!... — Na ten nieudany wcale wybuch desperacyi starosty jaworowskiego, niewytrzymała powaga starszego brata w udanej swój surowości; starszy Sobieski parsknął śmiechem,

a i Francuzik rozśmiał się także po daremném usiłowaniu zachowania powagi.

— Łotrze! ty jeszcze będziesz się ze mnie śmiał! — krzyknął Jan Sobieski siedmnastoletni, macnąwszy się z przyzwyczajenia po lewym boku, gdzie szabla bywa, a potem pięścią grożąc Francuzikowi, słudze, ale i koledze ze szkolnej ławy. Ale tak mu grożąc, Jan już na pół tylko się złościł, a wpoły śmiał się sam ze swęj desperacyi, i z tęg zarazliwęg śmiechu własności, która sprawia, że patrzącemu na śmiech wesoły także mimowolnie śmiać się zachciewa. Tymczasem Marek rzekł:

— Jakże się nie śmiać, gdy wielmożny starosta jaworowski, młodzian skończony, do Paryża jadący w zamiarze występowania na dworze Ludwika XIV-go, największego na świecie monarchy, zabiera się do płaczu, ponieważ mu trzeba co kilka dni nagryzmolić parę wierszy piórem po papierze.

— O!... gdybyż to tylko o lada gryzmolenie chodziło! — westchnął Jan — aleć to przecież pan wojewoda nie lada wysiłków umysłu przy gryzmoleniu tęg wymaga: dalipan lżejby mi było szablą... Jakto stoi tam w instrukcyi? panie braci?

— Nie wątpię, że w rzeczy lżej byłoby waszmości szablą... a no powiem, że mię to nie cieszy. — rzekł Marek, na ten raz z nieudaną wcale powagą, ojcowską nieledwie, do jakieg starszych braci w rodach starannie dawnięj wdrażano, aby mając wiele przywilejów starszeństwa, mieli też i wiele ojcowskiego uczucia dla młodszęg rodziny.

— A to czemu? — spytał Jan poufale, jak nie śmiałby wojewodę ojca zapytać, ale zarazem z pewną w tonie mowy pokorą, jakby rzeczywiście pragnąc się mądrością „swego starszego“ oświecić, i ze słów jego korzystać po synowsku.

— Temu — z głębokim namysłem odpowiedział Marek, — że jakkolwiek rycerska *zabawa*, tak u nas zwana, a w rzeczy święta w obronie Krzyża i Ziemi powinnośc, piękną jest, sprawiedliwą, konieczną, i w rzeczy świętą prawdziwie, to przecież zmysł i sztuka *polityki*, w któręg to sztuce mamy się kształcić w Paryżu, wymagają też myślenia, i głębokiego rozumu, a nawet, powiem panu bratu i waszmośc sam to po chwilowym namysle przyznasz, że niekiedy, bodaj czy nie najczęściej, kilka mądrych słów, na czasie wyrzeczonych lub napisanych, mogą bardzo wiele krwi oszczędzić, lub zgolić rzeczy szablą nierozwiązalne uczynić rozwiązalnemi. I otóż dla tego powiedziałem, że nie cieszy mię waszmościna do szabli ręczośc, bez żadnego w porządném myśleniu, czyli w polityce ładu.

Starosta jaworowski zamilkł, pomyślał, podzielił sam z sobą, i dopiero po długięj chwili

takowęg medytacyi rzekł pełnym rezygnacyi głosem:

— To jakże wedle waszego, panie bracie, myślenia, ma to sprawiedliwie być?

— A oczywiście, że tak, jak o tęg instrukcyja miłościwego pana wojewody mówi... — odpowiedział Marek, i przerzuciwszy parę kartek w książce, trzymanęj w swych ręku, czytał: — „W każdém tęg mieście, czasu podróży, winni jesteście notować sobie charakter i usposobienie książąt i głównych panów dworskich, także statut każdego dworu. Kiedy przez miasto wielkie pojedziecie, wypytujcie się, czyje to miasto? pod czym rządem? co załogi na niēm? co za *municye*? co za położenie? To sobie wszystko będziecie notować w tęg książce swojej przez wszystkie czasy swojej peregrynacyi“.

— A tak notując, i namyślając się nad notami, i wątku a materyału do nich szukając, przyuczmy się, panie bracie, do statecznego myślenia — mówił Marek.

Jan znowu pomyślał, pomilczał, i rzekł nagłe porywczo:

— Ja bo naprawdę, chciaem w rzeczy osobliwości ciekawy, przecież ani raz zrozumieć nie mogę, po co my tam za granicę tęg jedziemy? Wszak tatarskiego tańca ani tureckięj zapalczywości tam nie uczą, które najmocnięg są nam potrzebne? więc pocóż my tam jedziemy?

— A no — powiedział Marek cierpliwie i zwolna — to już uważam, iż trzeba wam jeszcze raz odpowiedni ustęp Instrukcyi naszęg przeczytać, aczkolwiek już wielokroć czytany... — I przerzuciwszy parę kartek, Marek, starosta krasnostawski, znów czytać zaczął w Instrukcyi, w rękach swych trzymanęj:

„Przedewszystkiēm, zaraz po zainstalowaniu w zajeździe tam paryzkim, a no nie z owych najkosztowniejszych, zajmiecie się wyszukaniem profesora co najprzedniejszego, coby to był i wielki polityk i wielki orator; będzie co najmniej trzeba codziennie od rana choć przez dwie godziny styl a politykę z historją zgłębiać: i to z wszelkięg mocy przykładając się do onych nauk. Zamówić wypadnie też mistrza francuzkiego z najbystrzejszych, aby wam codziennie po południu znów przez dwie godziny reguły francuzkięg konwersacyi wykladał. Bo chociaż i dobrze wy we francuzkięg mowie z waszym Francuzem i z niejednym się porozumieć możecie, to przecież inna jest rzecz tu, a inna tam, a jeszcze inna i najtrudniejsza u dworu królewskiego. Więc po to specjalnego mistrza umówić wypada, aby was z najusilniejszą pilnością w dworskięg konwersacyi polerował; bo i nie wprzód, aż ją pojmiecie dokładnie, będzie wam można u królewskiego dworu się ukazać, a i wtedy też dopiero

prześlą się wam listy królestwa naszych Najmiłościwszych, ku zaleceniu was na francuzkim dworze. A no gdyby i nie to, zawszeć nauka cudzoziemskich języków najłatwiej się w ich krajach nabywa; a jest to zaś ozdoba każdego szlachcica polskiego, i pochwała między przednimi ozdobami i chwałami umieć języki. Przyda się to i na dworze pańskim, przyda i na różne legacje, na różne pańskie i Rzeczypospolitej usługi". — A cóż? czy spamiętacie nareszcie, po co za granicę jedziemy? — spytał Marek po odczytaniu powyższego ustępu instrukcyi. — Oto bodaj czy nie głównie a osobliwie po zgłębienie polityki najbardziej. Jużci krzywicie się, bracie, na samo to słowo, jak po czém kwaśnem, oj, mam ja wielką niespokojność, azali wy kiedykolwiek na polityka a dyplomata wyjdziecie!.. — dodał z westchnieniem, smutno głową kiwając, brat troskliwy.

— Przeczytajcie jeno z łaski swęj jeszcze tamto o Niderlandzie, bo już wolę tamto! prosił Jan. Więc Marek czytał znowu! — „Za pobytu w Niderlandzie trzeba znów mistrza obrać nie lada jakiego, aby przy nim naukę architektury wojennej *expedite* wystudyoować. Prywatnego czytania książek należy też srodze po wszystkie czasy swęj peregrynacyi pilnować. Rzecz to okrutnie pożyteczna i miła, a pan Jan Zamojski, jako i pradziad waszmościów macierzysty, przeznaczony a wielki on Żółkiewski, hetman i kanclerz wielki koronny, ono nie gdzie indziej, jeno w rzeczy owęj wielkość a pożyteczność swą jakoby ze źródła czerpali. I owszem, dziś także pan kanclerz koronny Ossoliński, pan podczaszy koronny Ostroń, i mnodzy inni, czyliż czytaniu się nie oddają? A choćby tam kto i ochoty wielkiej ku czytaniu nie miał.. (w tém miejscu czytania Francuzik, figlarnie ku jaworowskiemu staroście zerknąwszy, dostał od tegoż lekkiego w bok szturchańca) to niechby jeno przez pół godziny co dzień, na rozum rzecz wzięwszy, doń się przymuszał, a już niechybnie z czasem rozkocha on się w czytaniu, że go niby wuja waszego Daniłowicza, ś. p. Stanisława, trudno będzie od ksiąg oderwać". — Starosta krasnystawski przestał czytać, a w tém żwawo zapisał swoim językiem Francuzik.

— Z całym należnym dla instrukcyi tęg respekt, ja w nięj przecież jednego punktu nie pojmuje.

— To między waś do siebie samego żal a pretensją, iż głowę taką ciasną masz! — równie żwawo po polsku odparł Jan Sobieski. — A cóż to za punktem jest, którego objąć głowa twoja nie może?

— To, że pan wojewoda, wysyłając waszmość panów na paryżką edukacją, zapomniał w swęj

instrukcyi o najważniejszym w tęg edukacyi przedmiocie...

— Nie może być! A o czémże mówisz wasze? — spytał Marek.

— Jużci o tańcu i o talencie na lutni! — odpowiedział Francuz — A przecież taniec, zwłaszcza najmodniejszy ten, zwany *à la gaillarde*, jest konieczny na dzisiejszym dworze francuzkim królewskim potrzebny, nawet i w Polsce przy tęg nowęj królowęj Maryi Ludwice, która już jedzie podobno, będzie toż samo. Przekonacie się waszmość panowie, że każdy młody szlachcic będzie wkrótce galarę tańczył i na lutni grał nawet w Polsce.

— To bardzo być może — odpowiedział Marek — i dla tego też pan wojewoda bynajmniej o rzeczy tęg możebnej nie zapomniał.

— Gdzie? gdzie? jak? — ciekawie zaglądając w instrukcyą w braterskich ręku, zagadnął Jan. A i Francuzik z należnym dla panów uszanowaniem przecież wyciągnął szyję, aby też w książkę zajrzeć. Starosta krasnystawski, poszukawszy odpowiedniego paragrafu, czytał:

— „Pragnąc ja dla was miłego na francuzkim dworze przyjęcia, a też i na naszym przy Francuzce Pani, widzę, iż godzi się wam i do owych modnych wykwińtów zastosować, jak obecnie w onym tam francuzkim świecie są w używaniu. Tedy wyszukać wam przyjdzie i mistrza tanecznego, a już zawsze jak ma być, to co najprzedniejszy niech będzie, aby was jak należy owę tam galarę i przedniejszych piasów dworskich wyuczył, ponieważ: *Quaecumque arte placere potest placeat*. Co się mnie tknie, ja o to zgoła nie dbam; bodajecie na koniach da Bóg tańcowali, bijąc Turki, Tatary. Także, jeśliby który z was chciał się na lutni uczyć grać, albo na jakim instrumencie, i to na wolę waszę puszczam, jeśli który z was będzie miał do tego *ingenium*. Ale przyznam się, żebym żałował tego czasu, cobyście na tém błazeństwie strawili. Będziecie da-li Bóg mieli tyle dostatków, że możecie muzykę chować. Lepiej, że oni wam będą grać, niż wy sobie!.. — A co? czy zapomniał o czém pan wojewoda? — zapytał Marek, przestawszy czytać.

— Już co prawda, że pan wojewoda okrutnie tęgą głowę ma! — rzekł Francuz układnie.

— Więc, no, więc jakże to będzie z tym paragrafem, panie bracie? boć tam pan ojciec rzeczy one na wolę nam puszcza! to jakże z tém zrobimy? — Tak z wielkiem zajęciem pytał Jan brata starszego. Ten pomyślał i po chwili rzekł.

— *Quamvis* (aczkolwiek) na wolę to mamy puszczone, przecież łatwo jest w tém przejrzyć własną wojewody wclą, myślę też, jako godzi się i tu do nięj zastosować... — Francuz aż w ręce z akcentem zmartwienia klasnął na te słowa woje-

wodzica starszego, a młodszy wojewodzie machnął desperacko ręką, mówiąc:

— To już i po galardzie! — i Francuz też znowu ręką machnął, tak samo zupełnie, jak młodszy wojewodzie. A wtém rzekł starszy:

— A otóż wcale nie! bo wszak sam brat Jan widzisz, że acz pan wojewoda do żadnej z rzeczy w tym paragrafie zawartych serca nie ma, wszelako czyni w niechęci swęj pewną różnicę i pewne ustępstwa dla onych modnych wykwińtów.

— Tedy będzie galarda, ale z lutni czemu nic nie ma być? — krzyknął Francuz, spojrzawszy w oczy młodszego wojewodzie, które się zaśmiały.

— Tak myślę — z zastanowieniem rzekł starosta krasnystawski, — boć nie o samę tu już galardę idzie rzecz, ale o różne inne potrzebne u francuzkiego dworu płasy, ukłony itp., które tam może inaczej, jak na naszym polskim królewskim dworze idą; a no prawdziwie to już potrzebne może być, gdyż podobna to rzecz do owęj akcyi deklamacyjnęj, której to pan Rożenkiewicz nas tak pilno uczył, a sam pan wojewoda tak bacznie postępy obserwował.

— Tedy będzie galarda, a zaś lutni nie! -- we-soło zawołał Jan Sobieski — bo i prawdziwie, do lutni już też chyba osobliwszego trzeba *ingenium* i tak myślę, że ta moda chyba żadną miarą u nas w Polsce prosperować nie będzie; bo któżby tam błazna z siebie chciał robić, na pokaz grywając. A zaś co tam pan wojewoda rzekł o tańcu z Turki a Tatary, toć chyba temu galarda ani krzty nie przeszkodzi.

— Nic ja tego nie *komprenuję* — rzekł z francuzka po polsku francuzik markotny — dla czego moda gry na lutni miałyby w Polsce nie prosperować i czemu talent ten miałby błaznem onego grającego czynić? I owszem, *tout au contraire*, dworski wykwińtny kawaler strojny i strojnemi otoczony damami w pięknym salonie, z wdziękiem na lutni grający, gdy przytém piękną pozycją zrobi, a dźwięcznym głosem kuplet zręczny zaśpiewa, albo kanconę włoską, może stanowić bardzo piękny obraz i efekt wielki odrazu zrobić na królewskim dworze! — I tak mówiąc a opisując wykwińtnego kawalera, Francuzik, snadź wyobrażając sobie samego siebie kawalerem onym, chwycił karabełę wojewodzie Jana, która ku wygodzie w podróży od boku odjęta stała tuż pod ręką, i położywszy ją sobie w objęciach tak, jako się lutnią trzyma, a przebijając po niej palcami, niby po lutni, przekrzywił głowę na ramię, oczy wywrócił ku niebu, usta z największym, jak mógł, kawalerskim wdziękiem wysnuował i tak śpiewał:

Quando sperava
D'esser contentà...
Rimase spentà
Felicità!...
Tra la la la!
Tra la la la...

(D. c. n).

MITOLOGIA SŁOWIAŃSKA.

II. Podanie o Wandzie.

Jeśli przypominacie sobie poprzednią naszą pogadankę, wiecie już, że mogiła Krakusa, usypiana na prawym brzegu Wisły, naprzeciw Wawelu, uważana jest przez historyków za ołtarz ofiarny pogańskiego bóstwa. Ale poniżej Krakowa, na lewym brzegu Wisły, wznosi się druga mogiła, imieniem Wandy przezwana, której początek gubi się także w pomroce wieków. O tęg Wandzie tyleż wiemy, co i o mniemanym jej ojcu, Krakusie, wszystko, co o nięj pisali starzy kronikarze, wzięte było z podań niepewnych, a dziś do bajek jest zaliczone. Dzieje te bajeczne zazwyczaj przez historyków przytaczane są na początku historii naszego narodu.

Jedyna córka Krakusa, Wanda, słynąca z wdzięku i rozumu, wyniesiona była na tron po śmierci ojca i wygnaniu brata, który się bratobójstwa dopuścił. Pewien książę niemiecki, Rytygier, chciał sobie rządy kraju przywłaszczyć wraz z ręką pięknej księżniczki, a ponieważ Wanda ślubowała, że nigdy za mąż nie wyjdzie, więc chciał ją zmusić do złamania tego ślubu i najechał jej ziemię z licznym wojskiem; lecz ona na czele hufców wyszła na spotkanie napastników i poraziła ich jednem swoim wejrzeniem; wojownicy nie śmieli z nią walki wszczynać, a Rytygier w zapędzie strasznego gniewu przebił się mieczem, rzucając wpród takie zaklęcie: — Wanda morzu, Wanda ziemi, Wanda powietrzu niechaj rozkazuje, niech bogom nieśmiertelnym za swoich czyni obiaty, (ofiary) a ja za was, o wodzowie, uroczystą piekłu składam ofiarę, abyście wy i potomkowie potomków waszych posiwili pod jarzmem niewiasty!

Najdawniejsi kronikarze nie wspominają o tęg, ażeby Wanda utopiła się dobrowolnie w Wiśle po tęg świetnym zwycięstwie, bo też naprawdę nie miała do tego najmniejszego powodu; później dopiero dodano, że po samobójstwie Rytygiera i Wanda, przyjąwszy hołd wierności od jego wojska, skoczyła w Wisłę, czyniąc dobrowolną ofiarę bogom. Zawsze jednak imię księżniczki łączono z rzeką Wisłą, wspomniano naprzykład, że rzeka

ta, przez środek jęj państwa płynąca, od Wandy otrzymać miała nazwę Wandela, a poddani jęj przewani byli Wandelami. Lud, tłómacząc sobie niejasną legendę, przerobił ją po swojemu, więc w tém późniejszym ludowém podaniu Wanda topi się w Wiśle jeszcze za życia Rytygiera, ażeby uniknąć nienawistnych związków i naród swój od napastnika uwolnić. Później dopiero księżę niemiecki zabija się z rozpaczy i żalu za piękną Wandą. Powieść o Rytygierze i Wandzie przechowała się także na wyspie Rugii, gdzie mnóstwo jest starożytnych zabytków z pogańskich czasów Słowiańszczyzny. Poetka nasza Deotyma (Jadwiga Łuszczewska) zwiedzając tę wyspę, napotkała tam osady, zwane Krakowem i Rugardem, a lud tamtejszy opowiadał jęj, że panował w nich niegdyś księżę Rugard, lub Rydgierd, który się zabił dla tego, że go nie chciała za męża piękna Wanda, królowa Wendów.

Pomimo to jednakże historycy dzisiejsi nie chcą wierzyć, ażeby księżniczka tego imienia rzeczywiście żyła i panowała w Krakowie, a mogiłę jęj, tak samo jak Krakusową, uważają za ołtarz ofiarny. Jeżeli bajeczny Krak był bóstwem, to i Wanda czém inném być nie mogła, tylko pogańską boginią. Nietylko w mitologii słowiańskiej, ale we wszystkich innych mitologiach, główną część oddawano zawsze słońcu i ziemi. Razem ze słońcem czczono ogień, a razem z ziemią wodę, która wszystko na ziemi ożywia. Na wyspie Rugii, jak opowiada rzymski historyk Tacyt, odbywały się wielkie uroczystości, poświęcone bogini ziemi, którą obwożono na wozie, jałowicami zaprzężonym, pośród pochodu tłumów ludu. Były to dni radości ogólnej, nikt przez ten czas w kraju nie podnosił broni, póki kapłani nie odwieźli bogini do świątyni. Po skończonych uroczystościach i bóstwo i wóz nurzano w jeziorze. Można się domyślać, że tak samo jak Krak był jedną z licznych postaci bóstwa słońca, tak i Wanda musiała wyobrażać bóstwo panujące nad ziemią i wodą zarazem. Nie darmo też Rytygier w zakłęciu swoim miał powiedzieć:— Wanda ziemi, Wanda morzu, Wanda powietrzu, to jest obłokom powietrznym panuje. Lud zamieszkały nad Wisłą, czcił w niej zapewne boginią swojej rzeki, wyraz Wanda musiał oznaczać toż samo co woda; napotykają się wyrazy podobne w innych językach europejskich, a niedaleko szukając, łacińskie *unda*, po francuzku *onde*, fala, po litewsku *wandu*, a po duńsku *vand*, znaczy woda. Bardzo być może, iż rzucanie wianków na Wisłę dnia 23 Czerwca jest zabytkiem owęj czci wodnej bogini, a trzeba też wiedzieć, że w kalendarzu słowiańskim imię Wandy przypada na tenże sam

dzień 23 Czerwca, to jest dzień puszczania wianków.

W r. 1218 Wisław, brabia na Prandocinie, założył opactwo Cystersów w Kocicach pod Prandocinem; w ósm lat, za poradą biskupa Iwona Odrowąża, przeniesiono je do wsi Mogiły, tak przezwanej od mogiły Wandy, u stóp której leży. Odtąd zwano opactwo „klasztorem Sławnej Mogiły“. Uroczyste poświęcenie kościoła odbyło się w dzień Ś-go Jana, a więc także w tej samej porze, od wieków zapewne pogańskiej uroczystości poświęconej. Okoliczność ta łatwa jest bardzo do wyjaśnienia; jak już wspominaliśmy w poprzedniej pogadance, kapłani chrześcijańscy starali się zawsze święta nowej religii ustanawiać w dniach, przeznaczonych na pogańskie obrzędy, aby pamięć ich jak najprędzej zatrzeć. Wszystko to dowodzi, że cała historia Wandy „co nie chciała Niemca“ jest pogańskim mytem, czyli baśnią, mającą związek z wyobrażeniami religijnymi dawnych pogan.

Uczeni znaleźli na to jeszcze wiele innych dowodów, poszukiwania te są bardzo ciekawe, ale chcąc je zrozumieć dokładnie musicie sobie przypomnieć najpierw to, cośmy opowiadali w owym rozdziale z historii starożytnej, który miał być wstępem do mitologii słowiańskiej ¹⁾, o wspólném pochodzeniu wszystkich ludów europejskich od azyatyckich Aryjczyków. Starożytne podania, a zwłaszcza myty religijne, przechowały się często prawie słowo w słowo też same, i w dawnych księgach indyjskich i w baśniach ludowych różnych europejskich narodów. Nie ulega więc wątpliwości, że to są zabytki z tych odwiecznych czasów, gdy jeszcze pra-pra-ojcowie Indusów, Persów i Europejczyków mieszkali razem na płaskowzgórzach środkowej Azji, w starożytnej aryjskiej krainie. Otóż i ta baśń o Wandzie musi sięgać takiej odległej starożytności, skoro odnajduje się w różnych stronach świata z małemi zmianami. Uczeni wyliczają wielkie mnóstwo takich baśni, indyjskich, greckich, skandynawskich, gdzie występuje jakaś nadludzka istota, do Wandy podobna, która chcąc się uwolnić od napastnika, takiego jak Rytygier, rzuca się w wodę, lub tonie we łzach i w wodę się rozptywa, a ztąd powstaje rzeka, jęj imieniem przezwana. Wszystkie ludy pogańskie czciły różne wodne bożyszcza, do dziś jeszcze krążą pomiędzy gminem, i u nas i w innych krajach, baśni o wodnicach, morskich pannach, lub morskich królewnach, o święteżankach, syrenach. Warszawa ma za godło bajeczną postać syreny, na wpół ryby, a na wpół kobiety; to także pochodzić musi od jakiegoś starego podania. Do niedawna jeszcze,

¹⁾ Patrz N-er 52 Wieczorów Rodziny z r. 1881.

jak to zaświadcza poeta Roman Zmorski w dziele swojem pod tytułem: *Podania i baśni ludu*, krążyła baśń, że kiedyś w miejscu, gdzie dziś jest ulica Dunaj, był strumień tego nazwiska, a w nim mieszkała morska panna, syrena.

Wojcicki w swoich klechdach opisał podanie ludowe o Morskiem Oku w Tatrach, przytoczymy je tu w skróceniu, gdyż ma niejaki podobieństwo do historyi Wandy, może być nawet, że z tej samej starożytnej baśni urosło. Gdzie teraz góry i skały, a przepaściste doliny, były dawniej łąny, lasy i żyzne pola. Na polskiej granicy mieszkał możny pan polski, nazywał się Morski, miał córkę cudnej urody; a poprzysiągł, że jej nie wyda za cudzoziemca, tylko za rodaka. A na stronie węgierskiej panował młody, urodziwy książę i srodze się w pannie Morskiej rozmiłował. Gdy ojciec jej poszedł na wojnę, córkę osadziwszy w klasztorze, książę węgierski, przebrawszy się za mnicha, do klasztoru się dostał, piękną pannę Morską namówił, aby nie zważała na przekleństwo ojca, którym jej zagroził i żoną jego została. Ona usłuchała i książę osadził ją w pałacu koralowym, lśniącym od złota i drogich kamieni. Żyli z razu szczęśliwie i mieli dziatka siedmioro, aż tu po latach wielu powraca z wojny stary Morski i bieży wprost do koralowego pałacu. Córka wyszła go pozdrowić, ale on plunął, tupnął nogą i pałac koralowy w proch się rozsypał; potem ojciec straszne wymówił przekleństwo:

— Niech zginie ten cudzoziemiec, a bogactwa jego niech się w kamień obróca, a ty rozplyń się we łzach swoich i dzieci twoje niech się w nich potopiają.

I tak się stało: książę przebrany za mnicha zaczął uciekać, ale skamieniał i skała ta zowie się dotąd Mnichem. Kamienie rosły wszędzie, księżna nie mogła uciekać z dziećmi tylko płakała i dzieci płakały, a z tych łez tworzyły się stawy i w każdym stawie jedno dziecko się utopiło. aż księżna wyplakała oczy, jedno stoczyło się ze skały i to płynęło się w stawie, który od jej nazwiska Morskiem Okiem przewano i księżna sama rozplynęła się w jednym stawie, a woda w nim była czarna od żalobnego jej ubrania i dotąd jest czarna.

Łatwo domyślić się można, że ten pan musiał być w baśni starożytnej jakimś morskim bóstwem, jak Neptun mitologiczny, ale go lud przerobił późniejszą polskiego szlachcica i nadał nazwisko: Morski.

I rzeka Wilia, według miejscowego podania, powstała z łez kobiety. Bardzo dawno, w miejscu, gdzie jest źródło tej rzeki, żyło małżeństwo, mąż, Szczepan, był krawcem, żona się

nazywała Wulianna. Bóg za jakąś karę zamienił Szczepana w kamień, ale dozwolił mu trudnić się krawiectwem, ażeby żona miała z czego żyć. Więc ludzie znosili robotę, a żona zapłatę zabierała. Pewnego dnia żartowniś jakiś przyniósł materyą i rzekł do kamienia: Uszyj mi ni to ni owo. Biedny krawiec tak się tępem zdziwił, że już na dobre skamieniał i szyć przestał, a żona tak się rozżaliła, że zaczęła we łzach tonać, aż z łez utworzył się strumień, w końcu cała się rozplynęła i popłynęła rzeką, którą od imienia jej przewano Wulianną, a potem Wilią.

Możnaby mnóstwo podobnych baśni naliczyć o różnych rzekach, z pewnością też wyobraźnia ludu przywiązała podobną baśń o wodnicy i do naszej Wisły, wodnicą tą jest piękna księżniczka Wanda, a Klonowicz bardzo trafnie nazywa Wisłę wodą Wandziną w poemacie swoim Flis. A teraz należy wyjaśnić jeszcze w kilku słowach, czém mógł być Rytygier, bo i on przecież musiał mieć jakieś mitologiczne znaczenie. Wanda, którą lud darzył taką czcią i uwielbieniem, musiała być niewątpliwie dobrą bóstwem, a Rytygier, występujący z nią do walki, nie mógł być czém innem, tylko złym bóstwem ciemności.

Już dziś uczeni doszli do przekonania, że wszystkie starożytne mitologiczne postaci bogów były wyobrażeniem różnych sił przyrody, a walki dobrych bóstw ze złymi przedstawiały różne zaburzenia żywiołów, z których jedne dobroczynny wpływ mają dla człowieka a inne szkodliwy.

Na zakończenie dodamy, że Czesi mają podanie bajeczne podobne do historyi Krakusa i Wandy. U nich także miał panować mądry król Krok, a po nim naród obrał władczynią piękną i cnotliwą córę, Libuszę; nie braknie tam nawet smoka, który miał przebywać w pobliżu stolicy. Libusza sprowadziła jakiegoś rycerza, aby go zabił. Wprawdzie Krok czeski miał trzy córki, jedna była czarodziejką, druga wieszczką, a trzecia dopiero panowała, wprawdzie Libusza, chociaż nie chciała z razu iść za mąż, tak samo jak Wanda, w końcu wyszła za Przemysława, ale jedna i ta sama baśń mogła się zmieniać dowolnie w ustach ludu.

Na nie-zczęście wszystkie stare podania, z pogańskich czasów Słowiańszczyzny pochodzące, bardzo po bieżnie i nie dokładnie spisywane były przez kronikarzy, zaledwie gdzieś gdzieś jakaś wzmiankę o nich znaleźć można; uczeni muszą wiadomości zbierać z baśni i pieśni ludowych, a te z ust do ust przechodząc, były ustawicznie przekręcane w ciągu wieków, a wiele też poszło w zapomnienie. O mitologii Greków pozostało mnóstwo szczegółów dokładnych w poezjach i dziełach sztuki tego na-

rodu, i dla tego to wszyscy znamy bóstwa greckie, ale mitologia słowiańska znana jest tylko z domysłów i nie wiele o niej opowiedzieć można.

MIŁA ZNAJOMOŚĆ.

(Wspomnienie z podróży).

Zwiedzając przeszłego lata całe prawie Salz Kammergut, zatrzymałyśmy się w niewielkiem miasteczku, bo liczącem zaledwie 600 stałych mie-

żartobliwie mówili, towarzystwo wzajemnej pomocy; wspólnie bowiem wynajmując łodzie zwiedzaliśmy malownicze okolice i miejsca, do których były przywiązane jakoweś podania. Takim sposobem obznajamialiśmy się z tém, co było godnem uwagi w tych miejscach prawdziwie uroczych. Razu jednego powróciwszy z podobnej wycieczki, siedzieliśmy wszyscy zgromadzeni u jednego stołu, posilając się kawą i ciastkami, jak to jest w zwyczaju w całej prawie Austrii. Towarzystwo nasze składało się przeważnie z artystów.

Obok mnie siedziała panna Paulina Dörenberg,



Na wodzie kołysze się piękny parowiec (str. 207).

szkańców, w Gmunden, położonem nad ślicznem jeziorem Traunsee. Piękne okolice, zdrowe powietrze lasów jodłowych, i wygodne, a stosunkowo tanie życie, zniewoliło nas do dłuższego pobytu w Gmunden. Spędziwszy w miasteczku tém dni kilka, pozabierałyśmy znajomości przeważnie z Wiedeńczykami i całą kompanią uorganizowaliśmy między sobą stowarzyszenie, czyli raczój, jakeśmy

młoda fortepianistka, używająca już dziś europejskiej sławy; mówiłyśmy z nią wiele o muzyce. Żywo malowała mi uczucie, jakiego doznała, kiedy po raz pierwszy wystąpić miała publicznie w obec Liszta; mówiła mi o swojej trwodze, a później uczuciu szczęścia i dumy, kiedy ją mistrz zachęcał i chwalił. Rozmowa nasza stała się ogólną i toczyła się o wybitniejszych znakomitościach świata

muzycznego, kiedy się do naszego kółka przyłączyła młoda artystka, Emma Eissler, licząca lat dwadzieścia dwa, prosząc abyśmy być zechciały na jej koncercie, który miał się odbyć nazajutrz w Ischl ze współudziałem jej dwóch sióstr: skrzypaczki i fortepianistki. Postanowiwszy korzystać z każdej zręczności słyszenia dobrej muzyki, chętnieśmy przystały na prośbę artystki, która miała zamiar nas natychmiast pożegnać, ale na prośbę całego towarzystwa chętnie się do nas przyłączyła i rozmowa powoli zaczęła wchodzić na inne tory, kiedy szmer niewyraźny i wymówione nazwisko Ilony Eibenschütz zwróciły naszą uwagę. Osóbka ta była mi już znana z artykułu umieszczonego w „Echu muzycznem”, z wielkiem tedy zaciekawieniem spojrzałam w stronę, z kąd szmer pochodził i ujrzałam małą dziewczynkę, liczącą lat dziećwięć a wyglądającą zaledwie na siedm, mocną brunetkę, o dziwnie bladej twarzy i smutnem wejrzaniu. Była to więc owa sławna Ilona!

W oczach jej malowała się dziwna tęsknota, rzec nawet można przygnębienie, co mimowoli nasuwało pytanie, jaki jest powód takiego wyrazu w twarzy całkiem dziecinnęj.

Za rączkę prowadziła ją matka, osoba już nie młoda, okrywając starannie od wiatru szyjkę małej artystki. Obie zatrzymały się przy naszym stole; znajome panie z naszego towarzystwa powstały, aby się przywitać, a po dopełnieniu obowiązków zwykłej grzeczności przedstawiły nam małą wirtuozkę.

Ilonka, poznajomiwszy się, położyła rączkę na mojem ramieniu i z prawdziwie dziecinnem zajęciem zaczęła się przyglądać pelerynce, którą miałam na sobie. Korzystając z tego powiedziałam jej, że już wiele czytałam o jej talencie w jednym z pism polskich. „Bardzo się z tego cieszę” odpowiedziała i objąwszy mi rączką za szyję mówiła dalej: „O, jabym chętnie pojechała do Rossyi! ale droga tak daleka wymaga kosztów nadzwyczajnych, a byłaby też dla mnie zbyt uciążliwa, ja się tak łatwo męczę podróżą, a jeździć muszę ciągle, bo my jesteśmy bardzo ubodzy, nie mamy żadnych środków, a kto wie jeszcze, czyby się nawet koszta podróży dały opłacić z koncertów dawanych w Rossyi. Największy dochód, jaki mamy na nasze utrzymanie, stanowią właśnie moje koncerty, a i to nie zawsze wystarcza: Rodzina nasza bardzo jest liczna, jest nas bowiem dziewięcioro”. Pomimo woli serce mi się ścisnęło na myśl, że ta wątła istotka jest już podporą całej rodziny.

„Powiedz mi, gdzie stale mieszkasz?” pytałam dalej dziewczynkę. „Urodziłam się w Peszcie” odparła „a mieszkam stale w Wiedniu, gdzie mi profesor Schmidt udziela lekcyj bezpłatnie, bywam

prawie codziennie, jeżeli nie na koncercie, to w teatrze, bez muzyki żyć nie mogę”.

„A w Gmunden długo zabawisz?” pytałam dalej. „Dziś odbędzie się mój koncert, a jutro wyjeżdżamy do Ischl, ponieważ pragnę być na koncercie panien Eissler, może i pani tam będzie?”

„Bezwątpienia” odpowiedziałam „właśnie kwestya ta była przed chwilą rozstrzygniętą; daliśmy słowo pannom Eissler, że na koncercie ich będziemy koniecznie. Jutro więc znowu się zobaczymy, dziś jednak pragnę usłyszeć grę twoją Ilono, powiedz mi więc, gdzie koncert twój będzie miał miejsce?” „Grać będę w Kasyno” odparła dziewczynka i dodała, zwracając się do reszty towarzystwa: „może i panie zechcą mnie uszczęśliwić swoją obecnością? lubię grać, kiedy mię tłum osób otacza, wtedy czuję, że gram lepiej, ale gdy sala pusta, o, to bardzo przykro!”

Słyszając to jedna z pań znajomych popatrzyła na ożywioną twarzyczkę Ilony i zwróciwszy się do swjej sąsiadki rzekła dość głośno: „Ta mała jest chciwą grosza; matka nadużywa jej sił, męcząc ciągłemi podróżami i częstemi występami; dziecko jest wątłe, może uleść chorobie; zresztą, odbierając częste oklaski stanie się zarozumiałą, zaufa wiele swym siłom i bardzo być może iż nie zechce dalej pracować. Wtedy to duma matczyna i chęć popisu mogą być srodze ukarane.” Zdaje się, że słowa te doleciały ucha młodej artystki, nagle stała się bladejszą, a oczy jej przybrały smutniejszy wyraz. Widocznie ostre te słowa silnie podziały na wrażliwą duszę dziecka, zamilkła, sposepniała całkiem, a ja, chcąc ją rozzerwać i rozprężyć smutne myśli, co tak przedwczesnie ogarniały tę młodą duszyczkę, starałam się ją rozzerwać i rozruszać. Ilona odpowiadała mi z równą jak pierwój uprzejmością, ale drżący jej głos zdradzał, że była boleśnie dotkniętą.

„Dziś więc twój koncert będzie miał miejsce! Z radością myślę, że cię wkrótce usłyszę” mówiłam do dziewczynki w zamiarze rozweselenia jej, ale w tej chwili zbliżyła się matka i biorąc za rękę młodą wirtuozkę rzekła: „Już czas, musimy iść do Kasyna, może i panie także udadzą się wraz z nami”, dodała zwracając się do naszego grona. „Chociaż sala koncertowa nie jest jeszcze zupełnie urządzona a i ubranie zabierze także chwil kilka, wieczór jednak tak jest piękny, że panie z przyjemnością czas jakiś posiedzą na werendzie”.

Po ogólnej naradzie stanęło na tém, żeśmy się wszyscy razem udali do Kasyna. Gdyśmy weszli, werenda zajęta już była przez małą liczbę osób; byłam prawie pewną, że jeszcze jest zbyt wcześnie i że dzięki temu tylko publiczności jest tak mało. Niestety i później nie przybyło jej

znacznie więcej. Według ogólnego mniemania koncert dziecka nie może sprawić zupełnego zadowolenia artystycznego, dla tej więc przyczyny osądzono, że nań szkoda wyrzucać pieniędzy.

O wpół do ósmej weszłyśmy do sali koncertowej. Przy drzwiach wręczył nam bilety brat Ilony, piękny mężczyzna o wspaniałej postaci, prawdziwy typ wschodniej piękności. Trzeba dodać, że cała ta rodzina posiada wyjątkowo piękne czarne oczy.

Kiedy publiczność zajęła miejsca, nagle otwarty się drzwi i na estradę szybko wbiegła dziewięcioletnia artystka, w białej sukience, z rozpuszczonymi włosami i skłoniwszy się mile słuchaczom zbliżyła się do fortepianu. Brat pomógł jej usiąść. Zauważyłam wtedy ze zdziwieniem, że nóżki Ilony nie dosięgały pedału, a spoczywały na przyrządzie umieszczonym na stosownej wysokości, za pomocą którego posługiwała się pedałem. Przyrząd ten umyślnie dla niej wynaleziony został przez jej nauczyciela, profesora Schmidt'a.

Ilona wykonała najpierw: „Haydna, sonatę; Szopena, Berceuse; i Bacha Cis-dur Preludium. Później nastąpiła niedługa pauza, po której znowu zagrała: „Hansa Schmidta, Salon Polski; Webera Rondo Es dur; Schumana, Des Abends; i nakoniec Szopena Impromptu“.

Podczas mojego pobytu za granicą nieraz zdarzało mi się słyszeć grę niejednej znakomitej fortepianistki, ale gra żadnej z nich nie wywarła na mnie tak silnego i przyjemnego wrażenia, jak gra tego cudownego dziecka.

Co chwila potrzeba było zapominać, że się słucha małej dziewczynki; muzyka jej robiła wrażenie gry prawdziwej artystki i skończonej kobiety, której uczucia i gust miały się czas rozwinąć i uszlachetnić! Technika jej wyrównywała technice niejednej wykwalifikowanej artystki, jak na dziecko ma niezwykłą siłę uderzenia i co najważniejsze posiada tę boską iskrę uczucia, co pociąga tak silnie słuchacza i zostawia w sercu niezatarte wrażenie! Kiedy ją osypywano oklaskami, kłaniając się uprzejmie brała za rękę swego nauczyciela, i patrząc mu w oczy z radością, zdawała się mówić: „Wszystko co umiem, tobie zawdzięczam“.

W antrakcie jedna z pań wręczyła bukiet małej artystce, której to widoczną sprawiło radość, po skończonym bowiem koncercie, raz jeszcze przybiegła podziękować osobie, co ją obdarowała, a potem, zapominając całkiem o swoim talencie i stając się naraz dzieckiem, usiadła obok jednej ze znajomych sobie dziewczynek i zaczęła w najlepsze grać w łapkę. Wtedy znowu była prawdziwem dzieckiem, takim, jakie się co chwila spotyka, szczebiotała, biegała, śmiała się.

Usłyszawszy grę jej i dowiedziawszy się o podobkach tak częstych koncertów, powiełam dla niej, nie tylko uczucie podziwu ale i pewien rodzaj rzewnego i przychylnego uczucia i pomimo wieku, nie mogłam w niej widzieć zwyczajnej dziewczynki i zapomnieć o artystce. Ilona widocznie odczuwała moję sympatyę, bo i mnie zawsze witała z pewnem wyróżnieniem i garnęła się do mnie najchętniej. Muzyka jej takie głębokie na mnie wywarła wrażenie, że i teraz zdaje mi się chwilami, że słyszę jej grę, że mię dolatują te rzewne tony, że widzę tę małą postać o bladej twarzy, gorejących smutnych oczach i często chciałabym odgadnąć, czy dotrzyma w przyszłości świetnych obietnic, jakie obecnie podaje, czy talent jej rozwinie się prawidłowo i czy ją życie i oklaski przedwcześnie nie znużą. Pomimo woli ciśnie się do serca pytanie, czy kosztem sławy przedwczesnej nie utraci tego szczęścia i spokoju duszy, jaki jej dziecinnemu wiekowi tak jeszcze właściwy.

Nazajutrz widziałam raz jeszcze małą artystkę w Ischl na koncercie panien Eissler i znowu z nią długo rozmawiałam.

Było to już ostatnie spotkanie, na drugi dzień bowiem Ilona wyjechała do Wiednia i odtąd już jej więcej nie widziałam, znajomość tę jednak zaliczam do najprzyjemniejszych chwil, jakich doznałam w czasie mojej wycieczki za granicę.

Minus.

LISTY Z WARSZAWY.

Kazio do Maryni.

Kochana siostrzyczko! Muszę ci najpierw wspomnieć o tem, co mnie w tej chwili najwięcej zajmuje; oto kupiłem sobie skarbonkę i wkładam w nią wszystkie pieniądze, jakie tylko oszczędzić mogę od różnych drobnych wydatków, a przeznaczam je na pomnik Mickiewicza, który ma stanąć w Krakowie. O tym pomniku wiedzieć muszą wszyscy czytelnicy naszych Wieczorów, wielu z nich przysyła na ten cel rubelki i grosze do redakcyi, nie zawadzi jednak przypomnieć, że potrzebna suma jeszcze nie jest zebrana. Namówiłem już kilku moich kolegów, ażeby sobie urządzili skarbonki za moim przykładem, a spodziewam się, że ty ze swojej strony namawiać będziesz do tego znajome panienki. Wiesz nasz nie jest obcy nawet i młodziej szatwie, która powtarza jego „Powrót Taty“, a młodzież dorastająca powinna go znać dobrze; teraz, gdy nadarza się tak piękna sposobność złożenia hołdu jego pamięci, nikt nie powinien zostawać w tyle. Tymczasem rzeźbiarze

nadesłali już z różnych stron do Krakowa projekta na pomnik. Komitet, z samych znawców złożony, wybierze z tych wzorów najpiękniejszy. Wszyscy są bardzo ciekawi, który z polskich rzeźbiarzy dostąpi tego zaszczytu, by uczcić największego z naszych wieszczów.

Ty, co tak lubisz piękne Treny, poświęcone pamięci Urszulki, wiesz zapewne, że Jan Kochanowski umarł w r. 1584, a zatem za dwa lata, w roku 1884 obchodzić będą trzechsetletnią rocznicę jego śmierci. Już dziś robią przygotowania do tej uroczystości; więc mają być wydrukowane w ozdobnym wydaniu wszystkie dzieła Jana Kochanowskiego, a poeci współcześni na cześć jego napisali piękne poematy, które także dopiero w roku jubileuszowym ogłoszone będą drukiem.

W roku przyszłym, 1883, gotuje się inny jubileusz; kto zna ważniejsze historyczne daty, przypomni sobie odrazu, że dwieście lat temu, w roku 1683 Jan III Sobieski oswobodził Wiedeń od Turków. Godzi się, aby rodacy uroczystie tę pamiątkę obchodzili. Niezawodnie też pojawi się w tym czasie mnóstwo opisów, obrazów, dotyczących się bohaterskich czynów króla Jana i będę ci o tym wszystkiem szeroko opowiadał, jak Bóg da doczekać.

W przyszłym roku przypada także rocznica pięćsetletnia założenia klasztoru Częstochowskiego na Jasnej Górze, i z tego powodu mają się ukazać różne wydawnictwa, opisy i rysunki. Nie mało pięknych i ciekawych rzeczy przybędzie naszej literaturze, a „Wieczory Rodzinne“ nie omieszkają pewnie uszczknąć coś z tego wszystkiego i dla swoich kochanych czytelników, którzy powinni wiedzieć o wszystkiem, co zajmuje ogół ludzi oświeconych. Muszę ci także wspomnieć o pięknem i pożytecznem przedsięwzięciu, które powstało w tych czasach we Lwowie. Nieraz ci się zdarzy posłyszeć wyraz: Macierz polska, bo wszyscy obecnie o tej Macierzy mówią i piszą; trzeba więc ażebyś wiedziała dokładnie, co to znaczy. Grono ludzi zasłużonych, z Kraszewskim na czele, postanowiło zebrać fundusz potrzebny na wydawanie różnych pożytecznych książek dla ludu. Przedsięwzięcie to już jest urzeczywistnione, fundusz znaczny zebrany ze składek, wkrótce też mają przystąpić do wydawnictwa książeczek. Ponieważ ta instytucja ma na celu nauczanie ludu, więc jej nadano nazwę Macierzy, czyli matki polskiego ludu.

W ostatnim liście tak szeroko się rozpisałem o obrazach Matejki, że o innych już nawet i wspomnieć nie mogłem dla braku miejsca, a jednak byłoby o czem mówić, bo mamy teraz wielu malarzy utalentowanych. Pomiędzy obrazami, zwracają

cemi na siebie uwagę na wystawie Towarzystwa zachęty sztuk pięknych, jest jeden, o którym muszę ci parę słów powiedzieć, bo to jest dzieło kobiety, malarki, panny Buttowt-Andrzejkowiczówny. Ciocia stała długo przed tym obrazem, i powtarzała po kilka razy z zadowoleniem: Jak to pięknie, że nasze kobiety tak pracują. Ja też zaraz pomyślałem sobie, że i tobie to pewnie sprawi przyjemność, gdy ci o tej malarce doniosę. Obraz przedstawia króla Łokietka w grocie Ojcowskiej. Pamiętam, parę lat temu widziałem na wystawie inne malowidło tegoż samego pendzla, piękniejsze jeszcze, przedstawiające jeńców tatarskich. Panna Andrzejkowiczówna zamieszkała obecnie w Warszawie i otworzyła szkołę malarstwa, gdzie uczęszczają same panienki.

Panna Józefa Żdzarska, znana autorka, otworzyła także niedawno zakład niezmiernie pożyteczny dla panien, które chcą w krótkim czasie wyuczyć się pracy korzystnej. U panny Żdzarskiej uczą malarstwa na szkło i porcelanie, a zacna kierownicza zakładu podejmuje się uczennicom swoim, gdy nabędą wprawy, dostarczać roboty, dającą stały zarobek.

Uważam, że w liście dzisiejszym mówię ci tylko o samych rzeczach poważnych, mam jednak nadzieję, że cię to nie znudzi, więc jeszcze na zakończenie wspomnę o jednej pani, która wiele bardzo dobrego robi, wyuczając ubogie kobiety pożytecznej pracy. Pani Helena Gabryelowa ma własne dzieci, dom, gospodarstwo, a chociaż jest osobą majątną, nie zbywa jej pewnie na zajęciach; widać jednak, że kto chce, na wszystko potrafi czas znaleźć. Pani Gabryelowa wyuczyła się za granicą roboty koronek, a powróciwszy do Warszawy, sprowadziwszy przyrządy i materiały potrzebne, zaczęła najpierw uczyć tego rzemiosła dziewczynki z Ochronki, której była opiekunką, a potem ofiarowała bezpłatnie naukę wszystkim osobom, które tylko ochotę miały do tego. Jedną z owych dziewczątek z Ochronki, mającą około 12-tu lat, tyle już dziś zarabia robotą koronek, że jej wystarcza na własne utrzymanie i na opłacenie komornego ubogich rodziców, obarczonych liczną dziatwą. Pani Gabryelowa daleko większe wyświadczyła dobrodziejstwo tej dziewczynce, aniżeli, gdyby ją najhojniejszą obdarzyła jałmużną. Ta szkoła koronkarstwa, otwarta dla wszystkich kobiet od godziny dziewiątej do południa w gmachu Banku Dyskontowego na Krakowskim Przedmieściu, jest prawdziwie dobroczynnym zakładem, a zacna kierownicza zasługuje na szacunek powszechny.

A teraz bądź zdrowa, siostrzyczko kochana,

Twój przywiązany brat, Kazio.

WYPRAWA

PO SKARBY UKRYTE WŚRÓD PUSZCZY

Przygody podróżników w Australii.

(Dalszy ciąg).

Gdyśmy już nieco wypoczęli i spożyli wspólną ucztę przygotowaną na przyjęcie nasze, Czerwony Kangur, w towarzystwie syna i najwyższych dygnitarzy swojego państwa, poprowadził nas w uroczystym milczeniu do pobliskiego gaju, gdzie pod zieloną murawą, ustrojoną różnobarwnymi kwiatami, spoczywają zwłoki wygnańca. Australczycy nie mają zwyczaju grzebania swoich umarłych, ciała ich oddają zwykle na pożarcie drapieżnych ptaków; ale plemię Nga - Ko - Tko w wielu rzeczach odstąpiło od dawnych obyczajów pod wpływem europejskiego swego wodza.

Zal biednych sierot jest rozdzierający, nie możemy ich oderwać od tej mogiły. Nadzieja obaczenia ukochanego ojca podtrzymywała ich przez cały czas tej uciążliwej podróży, nie szło im wcale o te skarby, które po nim pozostały, każde z nich oddałoby je bez wahania za jeden uścisk jego.

Czerwony Kangur, chcąc ściśle dopełnić woli nieboszczyka, zadaje dzieciom jego kilka pytań, dla sprawdzenia ich tożsamości, chociaż wcale o niej nie wątpi; on to bowiem jest wykonawcą testamentu i ma oddać w ich ręce bogaty spadek. Po kilkudniowym wypoczynku prowadzi nas do miejsca, gdzie złożone są skarby wygnańca. Znajdujemy tam ilość złota, przechodzącą wszelkie nasze oczekiwania. W pierwszej kryjówce mieszczą się bryłki czystego kruszcu, wielkości kurzego jajka, naliczyliśmy ich kilkaset, trudno jednak obliczyć rzeczywistą ich wartość na europejską monetę. Na pierwszy rzut oka zdawało mi się, że widzę kupkę świeżo obranych z łupiny i czysto wymytych kartofli. Bogactwa te innego na mnie nie wywarły wrażenia. W drugiej kryjówce ujrzelśmy kilkadziesiąt brył daleko większych, wartość ich wynosi z pewnością kilka milionów, chociaż tak niewiele miejsca zajmują. W trzeciej kryjówce ustawione są rzędem spore beczułki, w liczbie kilkudziesięciu, wplecione z bambusowych prętów. Wszystkie napełnione piaskiem złotym lub drobnymi ziarnkami szacownego metalu. Nakoniec w czwartej i ostatniej kryjówce spoczywają dwie tylko bryły, ale tak nadzwyczajnej wielkości, że raz jeden w życiu widziałem podobne w jakimś muzeum, jako osobliwość. Jest to skarb prawdziwie bajeczny.

Nie mamy z sobą wagi i nie możemy ściśle oznaczyć ciężaru tych milionów, ale pewnie nie mało zaważą. Nowy to kłopot dla nas, bo biedne nasze koniska nie zdołają ciągnąć długo takiego ładunku. Puszczając się w podróż, mieliśmy kilka wozów, całe stado koni, teraz tabor nasz, po tylu przygodach, bardzo jest skromny, niepodobieństwem byłoby powracać tą samą drogą. Musimy sobie radzić inaczej; jedyny nasz wóz znowu zamienimy na łódź, spuścimy go na rzekę płynącą w pobliżu, bieg jej oznaczony jest na naszej mapie, która na szczęście ocalała, wiemy więc, że tą drogą wodną dostaniemy się do zatoki Karpentaria, gdyż jesteśmy już niedaleko morskich wybrzeży.

Nigdybyśmy sobie nie dali rady z upakowaniem złota, gdyby nie przyjaciele nasi Australczycy. Ci dzicy ludzie w niektórych rzeczach daleko są przemyślniejsi od nas, cywilizowanych Europejczyków. Warto widzieć, jak zręcznie i dowcipnie powiązali beczułki, mniejsze i większe bryłki, w paczki oddzielne, niezbyt ciężkie, łatwe do przenoszenia, owijając to wszystko w kawałki kory a po wierzchu pokrywając każdą paczkę mocną tkaniną, splecioną z włókien roślinnych. Nie zapomnieli nawet dodać pętli z grubego sznura, za pomocą której z łatwością przenosić będzie można ciężkie paki.

Przygotowania te trwały dni kilka; pozostało już tylko spuścić łódkę na wodę i skarby ułożyć na spodzie.

Niewielki lecz bystry strumień, przerzynający kraj Nga - Ko - Tko, wpada ztąd niedaleko do większej rzeki, która jest także dopływem inną, większej jeszcze, płynącej szerokiemi korytem, aż do morskiej zatoki Karpentaria. W Australii niewiele jest rzek spławnych, korzystajmyż z tej szczęśliwej sposobności.

— Droga ta niezawodnie najdogodniejsza jest dla nas w obecnym naszym położeniu — mówił major Harwey, pochylony nad mapą — ale teraz zachodzi pytanie, co zrobimy, dostawszy się na wybrzeże morskie? Niema w tej stronie żadnego portu, będziemy więc musieli wyglądać przepływających okrętów, a któż wie, czy który z nich zbliży się do brzegu?

— Za pozwoleniem pana majora; zdaje mi się, że pomysł, z którym się noszę od dni kilku, zasługuje na uwagę i może nas od wszelkiego kłopotu wybawić. Czy mogę go przedstawić szanownemu zgromadzeniu?

Słowa te wymówił słodkim, przyciszonym głosem ów Niemiec Szäffer, który od początku naszej podróży, jak przypominacie sobie zapewne

czytelnicy, budził we mnie jakiś wstręt niewytłomaczony.

— Mów pan, słuchamy — odrzekł krótko major.

— Wytłomaczę się w kilku słowach — mómi dalej Szäffer — jak sądzicie, panowie, czy daleko stąd do najbliższej stacyi telegraficznej?

— Niezbyt blisko, co najmniej cztery lub pięć stopni geograficznych.

— A mnie się zdaje, że nie więcej jak trzy, to znaczy około ośmdziesięciu mil. Konie nasze wypoczęły dobrze i bez trudności przebyć mogą tę przestrzeń w przeciągu dni pięciu, co najwyżej. Zresztą, gdyby i padł który, zawsze część jeźdźców przynajmniej dostanie się do stacya z tamtąd będzie mogła się porozumieć z całym światem cywilizowanym. Nic łatwiejszego, jak telegrafować do którego z bliższych portów, prosząc, aby pierwszy okręt, żeglujący w tych stronach, po nas wstąpił.

— Pomyśl twój jest wyborczy, mój przyjacielu — odzywa się sir Reed — idzie tylko o to, kto się podejmie tego poselstwa, które w każdym razie trudne jest i niebezpieczne. Pomyśl tylko: jeździec będzie musiał przebywać przestrzeń kraju zupełnie nieznaną, może napotkać po drodze hordy dzikich, może i zabłądzić.

— Ja to biorę na siebie — rzekł Szäffer.

— Już jabym tam ciebie nie użył do żadnej poufnej sprawy — mruknął pod nosem mój Cyryl, który podziela uprzedzenia moje przeciw podejrzaney fizjonomii Niemca. Ale ja tylko jeden to dosłyszałem, sir Reed uradowany gotowością Szäffera mówił dalej:

— Ruszaj więc w imię Boże, skoro masz nadzieję dobrze się sprawić. Weź z sobą czterech ludzi, wybierzcie najlepsze konie, a gdy się na miejsce dostaniecie, nie szczędźcie pieniędzy, byle się wszystko załatwiło tak, jak należy.

Mówiąc to sir Reed wręcza mu pugilares, dobrze naładowany angielskimi banknotami i woreczek złotem napełniony. Pan Szäffer zabiera z sobą dwóch ludzi, Niemca i Anglika, wszyscy trzej niezwłocznie puszczają się w drogę.

— Do widzenia, szczęść Boże! — woła sir Reed na odejźdźnym.

— Do widzenia, nieza długo — odpowiada Szäffer i oddala się szybko.

Postanowiliśmy czekać na powrót naszych posłańców; nie sprawiło to nam żadnej przykrości, gdyż pobyt u naszych przyjaciół Australczyków bardzo był przyjemny. Zwiedzaliśmy malowniczą okolicę, łowiliśmy ryby w strumieniu, polowaliśmy na ptactwo i kangury, a czas wśród tych rozrywek szybko nam upływał. Dotąd nie mogę za-

pomnieć dni spędzonych tam na łonie pięknej natury, wycieczek, które odbywałem w towarzystwie pocziwych Australczyków, moich odkryć zoologicznych i botanicznych. Dni te minęły szybko, jak zwykle pomyślność mija na tym świecie. Zaczęliśmy wyglądać powrotu naszych wysłańców, znając akuratność Szäffera, sir Reed nie wątpił, że jeśli dokona swego przedsięwzięcia, nie straci ani chwili czasu, gdy więc przeminął tydzień, a potem drugi, zaczął się mocno niepokoić. Aż w końcu pewnego rana ujrzeliśmy dwóch jeźdźców, wynurzających się z gęstwiny leśnej, ale o Boże! w jakże smutnym stanie! poznajemy Szäffera i jednego z jego towarzyszy. Suknie ich są poszarpane w łachmany, twarze posępne, konie wynędzniałe, ledwo nogami włóczą, wszystko to świadczy o przebyciu jakichś przygód niezwykłych a strasznych.

— Gdzież trzeci, cóż się stało z trzecim? — pyta sir Reed z trwogą niewymowną.

— Już go niema, zginął! — odpowiadają jeźdźcy.

— Nieszczęśliwy, poświęcił się dla nas! — woła żałośnie miss Marya i głośnym płaczem wybuchła. Wszyscy jesteśmy zgnębieni tą smutną wiadomością. Ta podróż wspólna, razem przebyte niebezpieczeństwa i rozliczne przygody, wzbudziły w sercach naszych uczucia szczerzego przywiązania dla wszystkich ludzi, składających naszą gromadkę. Nawet sam Szäffer w tej chwili wydał mi się mniej wstrętnym i z pewnem współczuciem patrzałem na jego zafrasowaną minę.

Z opowiadania jego dowiadujemy się, że szczęśliwie przybył do stacyi telegraficznej, natychmiast odniósł się do portowego miasta Port-Denison, porozumiał się z kapitanem okrętu i miał od niego zapewnienie, iż przybędzie wkrótce do małej przystani przy ujściu rzeki, po której łódka nasza dopłynąć miała do zatoki morskiej. Nazwisko sir Reeda, znane w całej Australii, dostateczne było do ułatwienia tej umowy. Już wysłańcy nasi powracali i byli niedaleko, gdy plemię jakieś nieprzyjacielskie napadło ich po drodze, jednego zamordowało, a dwaj pozostali po rozpaczliwej walce uratowali się ucieczką.

— Pomimo tego nieszczęścia — rzekł Szäffer na zakończenie — dokonaliśmy naszego zadania, przywieźliśmy pomyślną wiadomość, towarzysz nasz życiem przypłacił spełnienie obowiązku.

Smutne były teraz przygotowania do podróży. Żal nam było poległych, przykro także rozstawać się z pocziwymi Australczykami, do których przywiązaliśmy się serdecznie, przebywając pomiędzy nimi. Ciężka troska zawisła nad nami

i złowieszcze jakieś przeczucia trapić nas zaczęły mimowoli.

Nadeszła wreszcie chwila odjazdu; odwiedziwszy po raz ostatni cienistą ustron, gdzie spoczywają zwłoki wygnańca, spłakane sieroty odmówiły rzewną modlitwę na jego grobie, ludność z całej wioski wyległa tłumnie z mieszkań, mężczyźni niosą ciężkie paki ze złotem i rozmaite zapasy żywności, kobiety i dzieci znoszą nam kwiaty i owoce; liczny ten orszak odprowadza nas aż do rzeki, na której kołysze się nasz statek. Australczycy składają paki ze złotem na spodzie łodzi, uważając, aby ciężar wszędzie był jednostajnie rozłożony i nie naruszył jej równowagi. Na najdogodniejszym miejscu, tuż pod żaglem, umieszczamy kobiety, marynarz Edward sadowi się u steru, Kanadyjczyk i Cyryl biorą wiosła do ręki, lekki wietrzyk popycha żagiel i łódź pomyka lekko z biegiem wody.

Józef, Czerwony Kangur, nie chce się z nami rozstać tak prędko, zabiera więc z sobą dwóch synów i dwudziestu najdzielniejszych swoich wojowników i małą gromadkę towarzyszy nam pieszo, wzdłuż brzegów rzeki. Będzie on strzegł naszego bezpieczeństwa i dostarczał nam świeżej zwierzyny. Reszta ludności, obdarzona przez nas najrozmaitszemi szacownemi przedmiotami, jak noże, siekiery żelazne, drobne błyskotki, powraca do domów, obsypując nas oznakami wdzięczności i uwielbienia. Dziewczęta szczególnie nie mogą się nacieszyć malutkimi kieszonkowemi zwierciadkami, których kilkanaście znalazło się pomiędzy naszymi podróżnemi przyborami.

Żegluga nasza odbywa się bardzo szczęśliwie, bez żadnych przygód nadzwyczajnych, często bardzo wysiadamy na ląd i podążamy pieszo w towarzystwie Australczyków, zabawiamy się polowaniem, łowimy ryby w rzece, nie braknie też po lasach kangurów i różnych zwierząt workowatych, mamy więc podostatkem żywności, co zaś jest najważniejsze, nie obawiamy się niedostatku wody. Upał dokucza nam wprawdzie coraz więcej, gdyż posuwając się na północ, zbliżamy się do równika. Jednostajność australskich krajobrazów zaczyna nas nużyć po trochu, tęsknimy do życia cywilizowanego i radziłyśmy przyspieszyć o ile możliwości tę chwilę, gdy ujrzymy nakoniec flagę europejską, powiewającą na maszcie okrętowym.

Za dni parę będziemy już niezawodnie na wybrzeżach odnogi Karpentaria. Musimy się rozstać nakoniec z poczciwym Józefem i wierną jego gromadką. Kangur Czerwony żegna nas ze łzami, niemniej rozrzewnione są dzieci wygnańca.

— Józefie, mój dobry Józefie — mówi sir Reed, ściskając serdecznie obie jego ręce — ja ci daję

słowo, że się nie na długo żegnamy. Europejczycy mają obowiązek dopomódz ci w tém dziele cywilizacyjném, które rozpocząłeś w tym kraju. Te dzieci posiadają teraz ogromne bogactwa, a to w znacznej części tobie się należy; one z pewnością nie zapomną o tém, coś ty uczynił dla ich ojca i czynami zechcą ci wdzięczność swoją okazać. Udało ci się już wzbudzić w tém dzikiem plemienu pewną ochotę do rolnictwa, a to jest krok bardzo ważny do oświaty. My ci przyjdziemy z pomocą, postaramy się przedewszystkiém skłonić znacznych misyonarzy, aby się osiedlili pośród was i wspierali was swoją nauką i radą. Prześlemy wam także narzędzia rolnicze, nasiona roślin, które z łatwością w tym klimacie uprawiać się dadzą, a tym sposobem, lud ten zabezpieczony będzie na przyszłość od niedostatku i głodu, nie będzie też potrzebował napadać i rabować bliźnich. Tak, Józefie, ja cię nie żegnam, bo my się zobaczymy, jeśli nam Bóg życia i zdrowia użyczy.

Gdy łódka nasza odplynęła, długo jeszcze gromadka Australczyków stała na brzegu, a my po kilkakrotnie oglądaliśmy się i żegnaliśmy ich przyjaznemi znakami, znikli nam wreszcie z oczu na zakręcie rzeki i wzrok nasz zwrócił się naprzód, niecierpliwie wyglądamy końca podróży. Żeglujemy dzień i noc, nie tracąc chwili czasu i oto nad ranem świeższy powiew przynosi nam słone morskie wyziewy, a wschodzące słońce oświeca wspaniały widok na rozległą zatokę Karpentaria. Odbyliśmy podróż niezwykłą, przeszliśmy w poprzek cały ląd Australski od dołu do góry!

Ze wszystkich piersi wyrывa się okrzyk radości, *na wodach zatoki, tuż przed nami, kołysze się piękny parowiec*, stojący na kotwicy w małej przystani. Jesteśmy tedy u celu, przewieziemy do Europy skarby wygnańca, niebezpieczne przedsięwzięcie nasze pomyślnym skutkiem uwieńczone zostało. Muszę też przyznać w duszy, że pan Szäffler sprawił się dzielnie i zaczynam sobie wyrzucać niesłuszne moje uprzedzenia do niego.

Już nas ujrzano z okrętu, łódka wypływa i zmierza do brzegu, marynarze angielscy witają nas donośnym okrzykiem. Wysoki, ogorzały mężczyzna wyskakuje na brzeg i przedstawia się, jako kapitan Alicyi, tak się nazywa parowiec, który nas ma odwieść do Melbourne, gdzie jeszcze zastaniemy zapewne doktora Stephensona i statek, którym następnie odpłyniemy do Europy. Kapitan zastosował się ściśle do zlecenia Szäfflera, który otrzymał drogą telegraficzną, natychmiast wyruszył z portu i przybył na miejsce na dwa dni przed nami, ażebyśmy nie potrzebowali czekać na niego.

Następnie sir Reed z majorem, Edwardem i ze

mną udaje się na statek, gdzie zawiera umowę z kapitanem bez żadnych trudności, gdyż nie tar- guje się wcale, spadkobiercy nie potrzebują szcze- dlić kosztów, aby jaknajprędzej się dostać do por- tu. Zjedliśmy u kapitana wyborne śniadanko, uraczyliśmy się doskonałym szampanem, zwiedzi- liśmy okręt, który przedstawia wszelkie warunki bezpieczeństwa, nie braknie w nim nawet armatki, gdyż w tych stronach i kupieckie statki muszą być przygotowane na napady rabusiów morskich. Nasz kapitan przewozi już od lat kilku rozmaite towary pomiędzy Chinami, Jawą i Australią.

Już tedy wszystko załatwione, za kilka godzin puszczamy się w drogę, wszystkie kłopoty nasze szczęśliwie są zakończone. Powracamy do brzegu i wesoło rozmawiamy, porządkując nasze rzeczy.

Najpierw tedy szalupa okrętowa zabiera paki ze złotem, Szäffer sam je odwozi, przy sobie każe ładować na statek, mała nasza łódka, pozbywszy się tego ciężaru, chwieje się na wszystkie strony; wyciągamy ją na piasek i przewracamy dnem do góry, aby obeschła, może się jeszcze przyda komu. Któż wie, czy jęj tu nie znajdzie jaki biedny roz- bitek, lub zbłąkany podróżnik.

A teraz czekamy powtórnego przybycia szalu- py, która nas ma zabrać na okręt; już kotwica zdjęta, kocioł podpalony i dym bucha z komina, słyszymy przeraźliwy gwizd pary... ale cóż to ma znaczyć? Na pokładzie nie widać żywej duszy, szalupa znikła... śruba zakreśliła się z głuchym zgrzytem i biała piana rozprysła się dokoła... sta- tek pomknął nagle, jak ptak, gdy skrzydła rozwi- nie do lotu! Zdrada, straszliwa zdrada!

(D. n.).

S Z A R A D A.

Pierwsza z wody — jęj odłany
Niszczą groble, znoszą tamy,
Drugi igłą otrzymany,
Na wstecz trzecie,
W łacińskim jest alfabecie;
Razem autor, wszystkim znany,
Znakomity ukochany,
Bawi, uczy, napomina;
A napisał już tak wiele,
Że dzieło stawiać na dziele,
Byłaby do gwiazd drabina.

Szarada podwójna.

Pierwsze — dwakroć u kołyski
Matka dziecku swemu śpiewa,
Gdy je do snu przyodziewa,
I utula w swe uściski
A gdy nie śpi, gdy się łzawi,
Druga trzecia podwojona:
Uciszy je i zabawi
I zadanie swe wykona;
Wszystko imię — zgadnie łatwo,
Kto się często bawi z dziatwą.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Matyldce U. Szarada nie zupełnie dobrze odgadnięta; z ka- żdego imienia wymienionego potrzeba wybrać jedną głoskę, złożony je, otrzymany rozwiązanie. Wyznajemy też, iż nie- zupełnie właściwa dla tej łamigłówki jest nazwa *szarady*, która zwykle daje się zagadkom odmiennym, zgłoskowym. Ale nic to nie szkodzi, że sobie kochani czytelnicy troszkę pracy zadadzą przy odgadnięciu. Łamigłówka w kwadraciku jest dobrze ułożona i wydrukujemy ją chętnie.

Helence B. w Uścigu. Cieszymy się niezmiernie, że nasz *Wieczory* tak zachwycają czytelników, nie przestajemy też starań dokładać, aby trześć ich była coraz więcej urozmaicona. *Tajemnica rodu* jest z wielu względów ciekawa i zajmująca; trzeba wiedzieć, że powieść ta zawiera mnóstwo szczegółów ścisłe historycznych, których jednak napotkać nie można w najobszerniejszej Historji polskiej. Co się tyczy komedj, w roku bieżącym podaliśmy obrazek sceniczny pani Duchinińskiej, gdzie wchodziły tylko trzy osoby. Niezadługo rozpoczniemy w Piśmie naszym szereg obrazków dramatycznych z dziejów polskich, a te będą najstosowniejsze do odegrania w teatrzy- kach domowych. O zaginione Nra zawsze należy się upomi- nać jak najwcześniej, gdyż zwykle przy końcu roku pozostałe komplety dobierają się i broszurują, musimy je więc rozrywać dla przesłania osobnego Nru. W tym razie jednak czynimy wyjątek dla tak miłej korespondentki i wysyłamy żądany Nr- 39 pod opaską.

Panienkom na Pensyi w Słupcy. Dziękujemy serdecznie za wszystkie wiadomości, tak uprzejmie przesłane w liściku, który nam wielką sprawił przyjemność. Opóźniliśmy się troszkę z od- powiedzią dla braku miejsca w zeszytym Nrze, za co najmocniej przepraszamy.

Rózi D. w Berdyczewie. Miłej naszej korespondentce i sta- łej współpracowniczce w dziale szarad i łamigłówek, składamy serdeczne podziękowanie za nową przysyłkę, z której nie omie- szkamy skorzystać. Za uprzejme, a tak pocieblne dla nas wy- razy, szczerze jesteśmy wdzięczni. Za wszystkie trudy, jakie ponosimy dla dobra naszych młodych czytelników, najmiłą na- grodą jest ich życzliwość, a odpowiedzi na liściki nie mogły nas nigdy znużyć, przeciwnie są odpoczynkiem i rozrywką.

Pani Eleonorze Ł. w Skulanach. Książki wysyłamy zawsze przez księgarnię p. Orgelbranda, zabawki nie przesłaliśmy dla tego, iż nie możemy już w roku bieżącym dostarczać prenume- ratorom naszym Zabawek pedagogicznych po cenie niższej. rs. 2 kop. 40 sz do rozporządzenia Pani.

Panu E. P. w Zdanistach. Historia była panu przesłana oddawna, na pocztę zapewne zaginęła, obecnie wysyłamy drugi egzemplarz, oraz żadaną książeczkę.